

BLOG

Olaf Osica Nowe podejście, nowe otwarcie

Październik 2009

Hasło „zmiany”, którą w kampanii wyborczej deklarował Barack Obama, nabrało konkretnego kształtu w Europie: Amerykanie rezygnują z budowy tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach. Co teraz?

Po miesiącach namysłów Waszyngton zdecydował się na nowe podejście do kwestii globalnego systemu obrony przeciwrakietowej. Zmiana polega na rezygnacji z budowy w Polsce stałej wyrzutni tzw. antyrakiet (które mogłyby zestrzeliwać pociski lecące z Bliskiego Wschodu w stronę wschodniego wybrzeża USA); nie powstanie też stacja radarowa w Czechach. Zamiast tego do 2015 r. w Europie mają zostać rozmieszczone mobilne systemy przeciwrakietowe typu SM-3, przeznaczone do zestrzeliwania rakiet krótkiego i średniego zasięgu.

Nowe podejście kładzie większy nacisk na integrację amerykańskiego systemu (dla którego oparciem jest dziś flota okrętów) z istniejącymi już sojuszniczymi systemami przeciwrakietowymi – nie tylko w Europie, ale też na Bliskim oraz Dalekim Wschodzie (np. Izraela i Japonii oraz Korei Południowej). Z tego powodu bardziej niż tarczę, nowy system przypomina sieć, którą będzie można rozciągać, przenosić oraz uszczelniać w zależności od tego, skąd pochodzi zagrożenie oraz jaka jest jego skala.

Decyzja (pozornie) absurdalna

Takie są założenia. I wydają się one lepsze od tych, które forsowała administracja republikańska prezydenta George’a W. Busha. Powodów jest kilka.

Po pierwsze, zmiana kilku parametrów technicznych tworzy nowy kontekst polityczny. Pozwala ona w większym stopniu uwzględnić w nowym projekcie partnerów USA i nadać mu charakter dobra wspólnego, a nie projektu stricte amerykańskiego, który był – często dla samej zasady – kontestowany przez sporą część sojuszników. W ten sposób hasło „zmiany”, którą deklarował w kampanii wyborczej Barack Obama, nabrało – przynajmniej w Europie – konkretnego kształtu.

Ów nowy kontekst polityczny jest korzystny także dla Polski. Od długiego już czasu tarcza była używana wobec Polski jako poręczne narzędzie nacisków wszystkich zainteresowanych stron. Przy słabej pozycji, którą od lat cieszymy się w stosunkach atlantyckich, mogliśmy zatem albo iść w zaparte – i stać się większymi orędownikami tarczy niż same Stany – albo oddać się jakiejś polskiej wersji gaullizmu, próbując klecić, jak niegdyś francuski generał-prezydent, wizję Polski „samodzielnej, zwartej i gotowej”, w tym także – nieco antyamerykańskiej.

Drugim powodem, dla którego projekt sieci antyrakietowej jest lepszy od tarczy, to fakt, że jego europejski komponent ma bronić Europy, a nie Stanów. Pociski SM-3 – oraz ich kolejne wersje – mają najpierw znaleźć się na wyrzutniach okrętów pływających po południowych i północnych akwenach morskich Europy. W przyszłości zaś pociski mają zostać „uziemione” na mobilnych platformach i ulokowane na kontynencie. Ta na pozór absurdalna decyzja (dlaczego amerykański podatnik ma ponownie płacić za bezpieczeństwo Europejczyków?) ma głęboki sens. Dla przykładu: atak Iranu na

USA jest działaniem irracjonalnym i nieprawdopodobnym. Ale już irański atak na Izrael i jednoczesna groźba Teheranu, że zaatakuje raketami średniego zasięgu te kraje, które zechcą powstrzymać go od akcji przeciw Izraelowi – jest już do pomyślenia. Ochrona Europy – a także szerzej: wojsk sojuszniczych, które znalazłyby się w zasięgu ataku raketowego – pozwala więc na zachowanie komfortu politycznego sojuszników, którzy pod naciskiem przerażonej opinii publicznej mogliby zrezygnować z pola dyplomatycznej rozgrywki, o militarnej już nie wspominając.

Negocjacji (już) nie będzie

Decyzja administracji amerykańskiej nie osłabia zatem bezpieczeństwa Polski.

Oczywiście, jeżeli ktoś uważa, że każda obecność wojskowa USA na terytorium Polski – bez względu na jej cel i charakter – zwiększa bezpieczeństwo kraju, to zmiana koncepcji z tarczy na sieć może wydać się utraconą szansą.

Jeżeli jednak założymy, że to nie sama infrastruktura, lecz jej przeznaczenie jest tym elementem, który wzmacnia gwarancje bezpieczeństwa, wtedy nic się nie zmieni. W podpisanej przez Polskę i USA umowie z sierpnia 2008 r. Waszyngton gwarantował obronę Polski (a nie tylko swojej bazy) przed atakiem raketowym. W nowej koncepcji będziemy chronieni przed atakiem – jak reszta sojuszników – bez względu na to, czy baza USA u nas powstanie, czy też nie.

A powstanie ona tylko wtedy, gdy zaakceptujemy amerykańskie warunki. Tym razem nie będzie negocjacji. Mobilna architektura nowego systemu oznacza elastyczność w prowadzeniu rozmów, co skłania do wniosku – opartego na lekturze stenogramu konferencji prasowej sekretarza obrony Roberta Gatesa i zastępcy szefa Połączonych Sztabów gen. Jamesa Cartwrighta – że Amerykanie rozpiszą po prostu „konkurs ofert”.

Role się odwróciły – i teraz to my będziemy zabiegać o goszczenie w Polsce baterii z naziemnymi pociskami (gdy przejdą już one niezbędne testy).

Czynnik rosyjski (pozorny)

Oficjalne powody decyzji administracji Obamy odejścia od pierwotnych założeń są znane. Po pierwsze: Iran długo jeszcze nie będzie zdolny do ataku raketami balistycznymi, zamiast tego skoncentruje się na rozwoju technologii przenoszenia ładunków na krótkie i średnie odległości (tj. do ok. 5000 km). Po drugie: nowe podejście opiera się na istniejących i lepiej sprawdzonych technologiach, co – po trzecie – pozwala na poważne oszczędności.

Część komentatorów po obu stronach Atlantyku wskazuje jednak, że jednym z głównych powodów zmiany parametrów systemu był wzgląd na obiekcje Rosji. Ustępstwem potwierdzającym tę tezę wydaje się rezygnacja z radaru w Czechach, zdolnego do śledzenia obiektów w promieniu 360 stopni, a zatem także terytorium i przestrzeń powietrzną Rosji, i wykorzystanie radaru w Azerbejdżanie (zdolnego tylko do punktowej obserwacji celów). Nawet w tym wypadku trudno mówić o „czynniku rosyjskim” jako sile sprawczej. Abstrahując już od faktu, że sami Czesi nie chcieli stacji radarowej, co znalazło swój wyraz w nieratyfikowaniu przez czeski parlament umowy z USA.

Wzgląd na Rosję nie przyczynił się do dokonania przez Waszyngton zmian w projekcie systemu antyraketowego – choć taka interpretacja bez wątpienia ułatwia teraz Amerykanom rozmowy z Rosją w sprawie układu START czy współpracy w Afganistanie, Rosji zaś pozwala na głoszenie, że odniosła sukces.

Wbrew ugruntowanemu w Polsce przekonaniu Rosja nie gra w amerykańskim myśleniu istotnej roli, co zresztą jest stałym źródłem frustracji na Kremlu. Waszyngton od lat prezentuje wobec Moskwy instrumentalne podejście, doskonale zdając sobie sprawę z własnej przewagi na każdym polu, a zarazem z ograniczonego wpływu Rosji na sytuację w Iranie czy szerzej na Bliskim Wschodzie. To

raczej Europa, a przede wszystkim my sami widzimy Rosję taką, jaką chce być ona postrzegana: wciąż silną i zdolną do wpływania na amerykańską politykę. Nie oznacza to, że Rosja nie stanowi problemu, ale że potrzebne są nowe sposoby radzenia sobie z nim.

Myślenie (niestety) bez sentymentów

Kolejnym mitem jest twierdzenie, że Rosja może liczyć na względy prezydenta Obamy, ponieważ jest on Demokratą – chociaż, jak pamiętamy (lub nie pamiętamy), to Republikanie szukali porozumienia z Rosją, które pozwoliłoby im na budowę instalacji w Polsce bez dawania Warszawie dodatkowych zabezpieczeń.

Polityka zagraniczna Obamy doskonale wpisuje się natomiast w główny nurt amerykańskiej debaty, czego dowodem jest poparcie dla nowego projektu obrony antyrakietowej, np. ze strony Brenta Scowcrofta – byłego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Georga W. Busha.

To nie przypadek, że po 16 latach rządów prezydentów o silnym obliczu ideowym – Demokraty Billa Clintona i Republikanina George'a W. Busha – dziś górę bierze myślenie pozbawione sentymentów. Dlatego bolesny dla nas realizm amerykańskiej administracji – i wielu innych środowisk, kształtujących dzisiaj amerykańską strategię globalną – wydaje się w większym stopniu odzwierciedlać niewielkie pole manewru odziedziczone po rządach republikańskich, niż być świadectwem własnych przekonań.

Nie zmienia to faktu, że prezydentura Obamy staje się symbolicznym zwieńczeniem zmierzchu Ameryki jako mocarstwa europejskiego i zwrotu w stronę Azji: procesu, który zaczął się wraz z końcem „zimnej wojny”, a który przyspieszyły ataki z 11 września 2001 r. na Nowy Jork i Waszyngton.

Czas refleksji (której nie będzie)

Choć bezpieczeństwo Polski nie ucierpiało na zmianie amerykańskich priorytetów, Polska wychodzi z politycznej batalii o tarczę przegrana. Nie rząd czy prezydent – lecz my wszyscy. Roztrwoniliśmy pozycję i kapitał polityczny na wewnętrzne spory i brak konsekwencji. Jeśli rząd Jarosława Kaczyńskiego tak bardzo chciał umowy z USA, powinien ją podpisać bez warunków wstępnych i bez pytania parlamentu. Jeśli rząd Donalda Tuska nie chciał tarczy, to nie powinien podpisywać umowy w 2008 r. A jeśli już ją podpisał, to powinien przedłożyć ją parlamentowi, z czym zwlekał aż do dziś.

Ale porażka Polski nie jest wygraną Rosji. Tak jak i my, Rosjanie mogli jedynie czekać na decyzję USA, licząc, że będzie dla nich korzystna. A nie jest. Wprawdzie kremlowskie elity umocniły się w przekonaniu, że ich głos może znaczyć więcej niż głos Polski i Czech, ale „sukces” ma swą cenę. Nowy system będzie dla Rosji o wiele większym wyzwaniem politycznym i strategicznym niż poprzedni. Politycznym, gdyż pozwala Waszyngtonowi na odzyskanie inicjatywy w Europie i poza nią, podczas gdy koncepcja Busha petryfikowała podziały. Strategicznym, gdyż zamiast mało znaczącej stałej infrastruktury niedaleko swych granic, Rosja będzie musiała stawić czoło rozwiązaniu, które ułatwia Stanom penetrację na morzach i oceanach, a także na kontynencie europejskim.

Nie jest zatem tak źle, jak przekonuje nas wielu obserwatorów. Co nie oznacza, że mamy powody do zadowolenia. Po prostu: pokazano nam miejsce w szeregu, zmuszając do refleksji nad sobą. Refleksji, której oczywiście nie będzie.

Olaf Osica, jest politologiem, analitykiem Centrum Europejskiego Natolin w Warszawie. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym”, nr 39 (3142), 27 września 2009.